

ciągnął z niej dwa małe kawałki zmiętego i zbrukanego papieru, z których jeden był połową przedartej koperty z częścią adresu:

*Mr. Elwood Ra...*

Wskazując na to, zauważył:

— Elwood, to imię rzadkie, trudno więc wątpić, do kogo to pisane.

Na drugim kawałku, także ołówkiem i tą samą ręką pisanych, było parę wyrazów bez związku, ale jednym z tych wyrazów było imię *Adela*.

— Półtorej godziny spędziłem na dziedzińcach, przyległych do stacyi, zanim znalazłem te dwa kawałki — oświadczył młody prawnik z powagą i prostotą.

Dwaj starsi spojrzeli na niego zyczliwie.

— Jeden z nich tkwił pod stosem nagromadzonych do ładowania towarów, drugi znalazłem na kupie odgarniętych na bok śmieci. Przedkładałem na to poparcie oświadczenia pana Ranelagh, który twierdzi, że wyraz „Przybywaj!“, użyty w spalonym częściowo liście, znalezionym w klubie, pisany był do Miss Karmeli Cumberland, a nie do Adeli i że miejscem spotkania miał być peron stacyjny, nie zaś nieszczęsny dom „pod Szumiącymi Sosnami“.

— Czy pan zna pismo Miss Karmeli Cumberland?

— Ja nie, ale w mieście tylu ludzi je zna. Wierzę, że te słowa pisała Karmela Cumberland.

Mr. Fox złożył oba kawałeczki z powrotem do koperty i odłożył je na bok starannie.

— I tym razem jesteśmy panu wielce zobowiązani — rzekł.

— Zobowiązanie mnie panowie nawzajem — szybko odpowiedział młody prawnik — jeżeli odkryjecie, kim był ten mężczyzna w czapce dżokejce i w płaszczu z bardzo wysokim kołnierzem, który wyjechał z dziedzińca klubu właśnie w chwili, gdy pan Ranelagh zajeżdżał. Mnie tam nie łatwo dochodzić tego i wcale nie mam ochoty podejmować się tego zadania.

Starął się powiedzieć to zupełnie naturalnie, łatwo i poprostu; ale jakoś mu się nie powiodło, szybko bowiem zdziwiony i pytający wzrok dr. Perrego spoczął na jego twarzy.

— I owszem, postaramy się o to — przyrzekł wyższy sędzia śledczy.

— O nic więcej prosić nie mogę — odpowiedział Karol Clifton, powstając, by się pożegnać. — Skoro Ranelagh stanie oko w oko z tym człowiekiem, wtedy dopiero rozwiążą mu się usta. Zanim panowie skończycie z moim klientem, przekonacie się, że o wiele więcej jest wart, niż dziś sądzicie.

Mr. Fox, wyższy sędzia śledczy, uśmiechnął się, poczytując te słowa za zwykły wybuch zapału młodzieńczego adwokata; dr. Perry jednak, który znał dobrze swój okręg i jego mieszkańców, spuścił oczy w zamyśleniu i nie podniósł ich, dopóki młody człowiek nie wyszedł z pokoju, a miejscę jego nie zajął inny, bardzo różny wyglądem i zachowaniem. Wtedy, jak gdyby budząc się z zadumy, przedstawił starszemu sędziemu nowoprzybyłego pana Karola Sweetwatera, detektywa z departamentu policji w Nowym Yorku.

Karol Sweetwater nieładny był, brzydki nawet; tak brzydki, że nawet dowcipny, żartobliwy uśmiech, częsty gość na jego twarzy, nie mógł wzbudzić sympatii do niego w tych, co nie znali cennych jego zalet. Cofnięta broda i nazbyt wydatny nos nie robiły korzystnego wrażenia na tych, co nie wiedzieli, jakie ma pogodue, skromne i miłe usposobienie. To też starszy sędzia śledczy, przyjrawszy mu się z nieukrywana niechęcią, zapytał nagle:

— Przywiózł pan ze sobą jakieś świadectwa, mam nadzieję?

— Mam tutaj list polecający z departamentu — rzekł. — Mr. Gryce pisał ten list — dodał z odrobiną dumy.

— List jest nader pochlebny — spieszenie zauważył dr. Perry, przeglądając go. — Sweetwater jest nam polecony, jako człowiek bystry, rozważny i taktowny.

— Bardzo dobrze. Do interesu zatem. Im prędzej działając będziemy w tym nowym kierunku, tem lepiej. Panie Sweetwater, mamy pewne wątpliwości,

czy człowiek, którego mamy w ręku, jest tym, którego szukamy. Ale najpierw, co pan wie o całej tej sprawie?

— To wszystko, co o tem pisały gazety.

— I więcej nic?

— Bardzo mało. Nie byłem w mieście dłużej, nad godzinę.

— Czy pana tu znają?

— Sądzę, że nie. Pierwszy raz tu jestem.

— A więc pan nie zna tych ludzi, tak jak i oni pana. No tak, to ma swoje słabe strony.

— Ale i swoje dobre także, jeżeli mi wolno wypowiedzieć moje zdanie. Nie mam uprzedzeń, nie mam z góry powziętych podejrzeń, z którymi bym musiał walczyć. Mogę brać ludzi takimi, jakimi ich widzę; a jeżeli trzeba odkryć głęboko ukrytą tajemnicę rodzinną, nie człowiekowi nie przeszkadza iść za wrodzonym instynktem. To znaczy, żadne sympatyje, żadne skłanianie się ku tym albo tamtym z przyczyn uczuciowych, z zawodową robotą nie mających nic wspólnego.



Kim pan jesteś — zapytała w końcu.

Oko starszego sędziego śledczego Foxa zwróciło się w stronę kolegi, lecz nie spotkało się z jego oczyma. Dr. Perry uwagę swoją znów skierował na stół i jeżeli nie wprost zmieszany, wydawał się jakiś nieswoj.

Starszy sędzia potarł z namysłem brodę i zwrócił się do detektywa, zaczął mu jasnymi a przejrzystymi słowami dopełniać obrazu zaszytych wydarzeń i charakterystyki w tę tragedję zamieszanych osób.

Sweetwater wysłuchał wszystkiego z błyszcącym wzrokiem, a gdy mu sędzia wyliczył różne poszlaki, wskazujące na to, że był ktoś trzeci, nieznaną dotąd, na miejscu zbrodni, zerwał się rażno i oświadczywszy, że to niezwykle obiecująca sprawa, prosił, by mu pozwolono samemu rozpatrzyć się w domu klubowym. Potem już będzie gotów puścić się w pogoń za tym mężczyzną w czapce dżokejce i płaszczu z wysokim kołnierzem, tym lubownikiem gorących trunków, który najlepsze butelki z klubowej piwnicy wyciągnął.

— To łotr skończony, pan, czy prosty człowiek, jeżeli mógł to zrobić, bezpośrednio po uduszeniu tej biednej kobiety. Jeżeli wogóle istnieje, jeżeli to wszystko nie jest wymysłem przyłapanego Ranelagh'a, nie trudno go będzie znaleźć. Co panowie myślą? Nie powinniśmy być trudno odszukać go?...

— My jego nie znaleźliśmy — odpowiedział z naciskiem Mr. Fox.

— A więc mam wolne pole przed sobą — uśmiechnął się Sweetwater. — Życzcie mi panowie szczęścia. Idę na oślep, ale ja to lubię!

X.

MOGĘ PANU POMÓDZI!

Sweetwater wraz z Hexfordem przez dobre pół godziny oglądał dom klubowy wewnątrz, a potem dokładnie rozejrzał się po jego otoczeniu.

Wyszedłszy północną bramą, obejrzał się raz jeszcze na długi, niski budynek, z rzędem wysokich kominów i zapuszczonych okien, wpół ukryty pod cieniem starych, szumiących sosen.

— Świadkowie wszystkiego, co się tu działo — westchnął młody detektyw, patrząc na chwiejące się gałęzie, to podnoszące się, to kłoniące w dół przed jednym z okien. Świadkowie wszystkiego. Zaglądały do tego pokoju na długo przedtem, nim Clarke zapuścił tam to spojrzenie, które nieszczęśliwego Ranelagh'a zgubiło. Gdybym ja wiedział to, co one wiedzą, nie szeptałbym, ale krzyczał!

I tak dumając, mrucząc coś pod nosem, dreptał, mało znacząca figurka, ku miastu, jak szara plama na jednostajnej bieli zimowego krajobrazu.

Lecz gdyby więzien, który pośrednio wyprawił tego młodego detektywa w jego obecną drogę, gdyby ten więzien mógł odgadnąć jego myśli i zmierzyć siłę jego postanowienia — możeby się zatroskał, widząc tego obecnego przybysza na drodze, na którą sam pchnął go swoimi, starannie obmyślanymi pójżeniami.

Jak już przedtem wspomnieliśmy, droga to była dalsza do miasta i mało uczęszczana zimą. W zwykłych warunkach spotkałby na niej Sweetwater zaledwie kilka wózków lub sanek, na przestrzeni pomiędzy klubem a ulicami miasta. Dziś jednak pełno się spotykało wózków, sanek, ekwipaży, wiodących różnych ludzi, ciekawych obejrzeć miejsce, gdzie popełniono zagadkową zbrodnię.

Sweetwater przyglądał się im wszystkim, twarzom mężczyzn, ruchom kobiet; właściwe jednak zainteresowanie obudziło się w nim dopiero, gdy doszedł do tej części drogi, gdzie zaczynał się rząd rozsiadanych domów ludzkich.

Wtedy to ożywił się, stał się ruchliwy, obrotny, wymowny.

Wstępował do domów, rozmawiał z ludźmi. Choć oczywiście człowiek trzeźwy, wstępował do zajazdów, zasiadywał się nad kieliszkiem, zachęcając do gawędy każdego, kto się do tego okazał skłonny. Gawędziarz był z natury i umiał mówić o każdym temacie, przy jednym jednak tylko błyszczały mu oczy. Sam go zresztą nigdy nie wszczynął; nie potrzebował tego. Zawsze znalazł się

ktos, kto rad dotknął najciekawszej kwestyi; a gdy się ją raz poruszyło, nie pozwalał upaść rozmowie, dopóki wszyscy obecni nie dodali swoich uwag i sądów do ogólnego mianownika.

Zdawałoby się, że to była prosta strata czasu, gdyż nikt właściwie nie miał do powiedzenia czegoś, czego by warto posłuchać. Sweetwater jednakże nie okazywał niecierpliwości i w dalszym ciągu słuchał i pytał każdego, wciąż pełen werwy i pełen nadziei.

Już daleko poza sobą zostawił polną drogę i błędził teraz wśród sieci chat, domków, sklepów i uliczek, zaznaczających w tej stronie początek miasta — gdy bystre jego a doświadczone oko padło na kobietę, stojącą z odkrytą głową w otwartych drzwiach i wyglądającą niespokojnie na ulicę, jak gdyby na kogoś czekała.

Spodobał mu się wyraz i porządny wygląd tej kobiety; spodobała mu się czystość domu i schludna prostota jej ubrania. Chciał ją zagadnąć, lecz jakoś nie śmiał, czując, że zwykłą swą gadatliwością tutaj daleko nie zajdzie.

Na szczęście sam los mu dopomógł.

(Dalszy ciąg nastąpi).